

WSPOMNIENIA WOJENNE

1915-1920

KAZIMIERZ NOWINA-KONOPKA SJ

**Wydawnictwo WAM
Kraków 2011**

Rozdział: *Służba w Legionach Polskich. Wspomnienia z lat 1915-1918*
na podstawie *Wspomnienia wojenne kapelana II Brygady Legionów Polskich*

Wydawnictwo WAM, Kraków 1993

Do druku przygotował, wstępem i przypisami opatrzył

Julian Humeński SJ

Rozdział: *Na Podolu i Wołyniu. Wspomnienia z lat 1918-1920*

Do druku przygotowała, wstępem i przypisami opatrzyła

Maria Dębowska

© Wydawnictwo WAM, 2011

Korekta

Magdalena Dobrzyniak

Katarzyna Stokłosa

Projekt okładki i stron tytułowych

Andrzej Sochacki

Fot. © Archiwum Prowincji Polski Południowej

Towarzystwa Jezusowego

ISBN 978-83-7505-662-4

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-256 • faks 12 43 03 210

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA INTERNETOWA

tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447

faks 12 62 93 261

e.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa:

Drukarnia LEYKO • Kraków

**SŁUŻBA W LEGIONACH POLSKICH.
WSPOMNIENIA Z LAT 1915-1918**

WSTĘP	7
-------	---

CZĘŚĆ PIERWSZA

I. Legiony	31
II. Menaż	47
III. Wielki Post pod Optowem	65
IV. Wielkanoc 1916	75
V. Święto pułkowe	81
VI. U Piłsudskiego	90
VII. Sąd	95
VIII. Odwrót	98
IX. Ligawki	133
X. Pod Miryniem	142
XI. Dymisja Piłsudskiego	157
XII. Baranowicze	167
XIII. Wilno – Warszawa	195
XIV. Dęblin	219
XV. Menaż w Lublinie	234

CZĘŚĆ DRUGA

I. Maj 1917	245
II. Polityka	258
III. Polski Korpus Posiłkowy	278
IV. Z Hallerem pod Kaniów	287
V. Za Dniestr	311

VI. Szlakiem Wołodyjowskiego	324
VII. Niech żyją buty...	336
VIII. Polka	340
IX. II Korpus	345
X. Przygrywka do kaniowskiej walki	363
XI. Na kwaterze w Potoku	370
XII. Bitwa pod Kaniowem	375
XIII. Kaniów po bitwie	391
XIV. W Kijowie	412
XV. Komunikat	421

NA PODOLU I WOŁYNIU. WSPOMNIENIA Z LAT 1918-1920

Wstęp	441
I. Włóczęga po Ukrainie	444
II. Początek przewrotów	494
III. Przygody pana Mariana Abramowicza	508
IV. Walki w Żytomierzu w 1919 roku	534
V. Bolszewicy	557
VI. Napady na seminarium	580
VII. Prześladowanie duchowieństwa	582
VIII. Rewizja u Chodkiewiczów	588
IX. Ucieczka bolszewików – armia gen. Krausa	595
X. Zajęcie Żytomierza przez armię gen. Krausa	598
XI. Wyjazd z Żytomierza	602
XII. Ołyka	610
XIII. Wyprawa na Kijów 1920 roku	617
XIV. Odwrót spod Kijowa w roku 1920	622
XV. Odwrót bolszewików	656
XVI. Nocna wizyta	666
XVII. Powrót do Polski. Objazd z Witosem	685
Indeks nazwisk	697

Wspomnienia wojenne o. Kazimierza Nowiny-Konopki spoczywały w Archiwum Południowej Prowincji Towarzystwa Jezusowego ponad 70 lat. Lata dzielące nas od czasów ich powstania nie wpłynęły bynajmniej na ich wartość, wydaje się bowiem, że właśnie obecnie przybrały na znaczeniu, gdy coraz częściej powracamy do źródeł naszej niepodległości. Autor wspomnień orientuje się znakomicie w dramatycznych wydarzeniach, których jest nie tylko świadkiem, ale i uczestnikiem, zna znakomicie nastroje panujące zarówno w Legionach, jak i w ówczesnym społeczeństwie, targanym rozmaitymi, niekiedy sobie przeciwstawnymi orientacjami politycznymi.

Jako duchowny reprezentuje stanowisko w wielkim stopniu neutralne i stanowiska tego broni zdecydowanie, pomimo różnego rodzaju nacisków to z tej, to z tamtej strony, i dlatego też cieszył się w kadrze dowódczej – były oczywiście wyjątki – i u legionistów znacznym zaufaniem. Zwracali się do niego nie tylko przy rozwiązywaniu bardziej zawikłanych spraw, lecz także zwierzali się mu z osobistych kłopotów, mógł więc wyrobić sobie właściwy osąd zarówno poszczególnych osób, jak i wydarzeń – widział wszystko szerzej i oceniał głębiej niż jego zwyczajne otoczenie. Sądy jego o ludziach są nierzadko zabarwione lekką ironią czy nawet złośliwością, są krytyczne i ostre, niekiedy nawet szokują, jak np. ocena Józefa Piłsudskiego, ma jednak zawsze odpowiednie dla nich uzasadnienie. Krytyczny jest zresztą i względem samego siebie. Uwagę młodego chorążego, dotyczącą jego pierwszego frontowego kazania, przyjmuje z pokorą, zobowiązując się ponadto, że każde następne kazanie przed jego wygłoszeniem będzie oddawał mu do oceny. Nie ukrywa też swego dobrego apetytu, zaznaczając zawsze, ilekroć uda mu się spożyć jakiś dobry obiad czy kolację. Umie jednak i głodować, gdy np. na Wielkanoc z całego przygotowanego przez

siebie „święconego” nic dla niego nie pozostanie, zaspokoi się wtedy kawałkiem suchego chleba, którego i tak nie będzie mógł spożyć do końca. Nie pomija również i takich sytuacji, w których byłoby trudno uwieńczyć go otoczką aureoli.

W swych wspomnieniach o. Kazimierz Konopka nie poprzestaje na suchym jedynie przedstawieniu wydarzeń, na zasłyszanych tylko wiadomościach, bo zgodnie ze swoją naturą sam musiał wszędzie dotrzeć, bezpośrednio zobaczyć, a że posiadał przy tym umysł dociekliwy, nie usiadł więc w miejscu, był w ciągłym ruchu. Bardzo rzadko spotykamy go w sztabach, jest natomiast często na pierwszej linii frontu, w okopach wśród żołnierzy, w ogniu – nie lęka się, jak np. podczas odwrotu, gdy wycofują się wśród zaporowego ognia, gdy ogniste węże przelatują nad nimi z piekielnym piskiem i rozpryskują się jak rakiety, siejąc ognistymi kulami – to dla niego „cudny widok”. Ta ruchliwość autora sprawia, że wiadomości posiada niejako „z pierwszej ręki”, a jeżeli bywają zasłyszane, zawsze to zaznacza. Opisy życia frontowego, jego wielkie i małe wydarzenia przedstawia bez przesady, jako rzecz samą przez się zrozumiałą, nie nadając mu cech jakiejś nadzwyczajnej ofiarności lub bohaterstwa – choć ma dla niego uznanie. Jest wojna, tak musi być. Sam też poddaje się chętnie ciężkim wymogom życia frontowego, związanym niekiedy z nieludzkim samozaparciem i ciężką duchą.

Cały dzień jego życia frontowego poznajemy w najdrobniejszych szczegółach, od rana do późnej nocy, śledzimy każdy niemal jego krok, a życie to nie było bynajmniej łatwe. Spełnia przy tym wiele czynności nienależących do obowiązków kapelana – jest finansowym, szefem kasyna, zaopatrzeniowcem, łącznikiem między dowództwem a frontem, telegrafistą, donosi chłopcom w okopach wodę, papierosy, tu i ówdzie jakiś dowcip – aż dziw bierze, skąd czerpał na to wszystko siły! Można podziwiać łatwość, z jaką dostosowuje się do zmiennych warunków i niewygód, nigdy nie narzekając na częste braki, na towarzystwo, które – co tu ukrywać – musiało go przecież niejednokrotnie razić swym prymitywizmem, brakiem towarzyskiej ogłady, a przede wszystkim niewybrednym językiem. Na jedno jest tylko niesłuchanie wrażliwy – na wszelką nieprawość, intrygę i kłamstwo. Wtedy już gotów jest wezwać każdego, nawet dowódcę, na „udeptaną ziemię”, a argumentami włada

nie gorzej niż jego przodkowie pałaszem. Posądzony niesłusznie i ukarany pięciodniowym aresztem domowym, po odbyciu „kary”, wykaże rzeczowymi dowodami jej bezpodstawność i – pomimo nalegań, by pozostał w pułku – poprosi o przeniesienie, twierdząc, że autorytet jego jako kapelana został naruszony, a przez to jego praca duszpasterska może się okazać mniej skuteczna. Podkreślić jednak należy, że zdarzające się między nim a dowództwem lub poszczególnymi oficerami nieporozumienia były raczej wynikiem różnego rodzaju intryg, do których usiłowali go bezskutecznie włączyć jedni lub drudzy.

Wartość wspomnień o. Konopki polega i na tym, że pisane były nie z perspektywy wielu lat, ale „na gorąco”, niemal z dnia na dzień, bez literackich aspiracji i emocji, i przez to właśnie dostarczają wiele informacji „od kuchni”, rysują dość przygnębiający obraz wzajemnych relacji między poszczególnymi legionistami, oficerami i między I a II Brygadą Legionów, skrzętnie ukrywanych lub przemilczanych w publikacjach, zarówno samych legionistów, jak i ich bezkrytycznych sympatyków. Dotyczy to zarówno osoby samego Józefa Piłsudskiego, jak i najbliższego jego otoczenia. Byli po prostu zafascynowani osobą Komendanta, a i po trosze sobą także. Byli to niewątpliwie wspaniali chłopcy, ci legioniści – ofiarni, dzielni, odważni również aż do szaleństwa, ale byli też ludźmi podatnymi na wszystkie ludzkie sprawy. Nękała ich zawiść, zazdrość, samolubstwo, intryga, stawianie często osobistych aspiracji i ambicji ponad ogólnonarodowe dobro. Bohaterowie bywali po prostu nie tylko „zmęczeni”, ale też niejednokrotnie sfrustrowani, rozgoryczeni, zniechęceni, nawet znudzeni – i wówczas „smutek ich pryskał w rozbitym szkłe” – nie tylko w piosence. A jeżeli prawdziwa jest wypowiedź Rydza-Śmigłego, pochodząca już z czasów po śmierci Marszałka, a przytoczona przez gen. Kordiana Zamorskiego w jego *Pamiętniku adiutanta Marszałka Piłsudskiego* (Warszawa 1989, s. 11): „Człek to nienormalny, co ukryć się nie da, a skoro się wyda, uważać nas będą za trzodę głupców, żeśmy tego nie spostrzegli” – to stanowiła w tym gronie wyjątek.

Wspomnienia swe autor spisał w czterech osobnych tomach. Dwa pierwsze obejmują lata 1915-1918 i zawierają jego przeżycia z okresu

służby w II Brygadzie Legionów Polskich i Polskim Korpusie Posiłkowym – w sumie 212 stron maszynopisu. Dwa następne opisują dzieje o. Konopki po rozbiciu II Brygady (Polskiego Korpusu Posiłkowego) pod Kaniowem, jego życie tułacz po bezkresnych przestrzeniach Ukrainy, pełne niebezpieczeństw, utrudzeń i poświęceń w ciągłej służbie ideałom niepodległej i wolnej Ojczyzny. Te dwa następne tomy, obejmujące lata 1919-1920 i 210 stron, są nie mniej ciekawe, niekiedy nawet wstrząsające, nie obejmują jednak jego bezpośredniej służby wojсковej.

Kto znał o. Kazimierza Konopkę osobiście, jak piszący te słowa, znajdzie we wspomnieniach bardzo zbliżony jego obraz.

Może teraz trochę biografii autora, wybiegającej poza ramy jego wspomnień, aż do tragicznego jego końca.

Najwcześniejsze swe lata opisał sam o. Konopka w ułożonym przez siebie w styczniu 1914 r., a więc w wieku 35 lat, gdy był zupełnie zdrowym człowiekiem i nic nie zagrażało jego życiu, oryginalnym nekrologu. Oto jego treść:

„Urodził się 10 stycznia 1879 roku w Tarnowie [rodzicami jego byli Leon i Anna z Kleinów – J.H.]. Z młodych jego lat nic szczególnego nie można zanotować, jak tylko, że już wówczas odznaczał się wielką uczynnością. Był to wynik pracy i wychowania bardzo zacnej matki, która, owdowiawszy, znalazła się w bardzo ciężkich warunkach i dlatego tym bardziej zwracała swe dzieci do Boga, do dobrego. Nie raz napominała śp. o. Kazimierza. Były to jego najszczęśliwsze chwile, gdy na zachętę matki przystępował regularnie co miesiąc do Komunii św. Dzięki też matce znalazł się w Towarzystwie (Jezusowym): 24 sierpnia 1893 przyjechał do Starej Wsi, i chociaż nie ukończył jeszcze 15 lat życia, przyjęty do nowicjatu w dzień Narodzenia M. Bożej, otrzymał sukienkę zakonną z rąk śp. o. Rothenburgera¹. Po ukończeniu humaniorów², podczas filozoficznych studiów w 1900 uzyskał od przełożonych zezwolenie na jubileuszową pielgrzymkę do Paray-le-Mo-

¹ Jan Rothenburger SJ (1848-1912), do zak. wst. w 1870, święcenia kapł. otrzymał w 1892, profesor teologii, przełożony w wielu domach zak., misjonarz w Stanach Zjednoczonych.

² Humaniorami zwano w Towarzystwie Jezusowym klasy gimnazjalne.

nial i Lourdes. W ogóle pobyt w Sączu i kierunek ówczesnego rektora o. Maćkowskiego³, jak na każdym scholastyku⁴, tak i na nim pozostawił nadzwyczaj dodatnie skutki, spotęgowane jeszcze przez tę pielgrzymkę⁵. Zauważyć to było można pod względem duchowego wyrobienia i w naukach. W tych dotąd pilnością się nie odznaczał – obecnie, zwłaszcza kiedy go posłano do Chyrowa, by tam chodził razem z konwiktorami do 7-mej i 8-mej klasy, od razu wybił się na pierwszego. Po zdaniu matury w Chyrowie w 1904 r., posłany na teologię otrzymuje w 1906 r. święcenia kapłańskie i kończąc teologię, zaczyna równocześnie Uniwersytet. Tutaj dzięki zdolnościom, a także z powodu czynnego udziału w życiu akademickim, zyskał sympatię u profesorów i uczniów i wywierał na nich bardzo wielki wpływ. Czas wakacji obracał na pracę kapłańską, wyjeżdżając w okolice Krakowa, na Śląsk i na Saksy, a nadto poświęcał się i pracy pisarskiej, głównie w «Przeglądzie Powszechnym», jak i w pismach niemieckich z zakresu historii i geografii. W 1910 zdaje egzamin profesorski w Krakowie i uczy przez dwa lata w Chyrowie. Usunięty z profesury, odbywa trzecią probację w Tarnopolu w 1912/1913, jeszcze uczy w Krakowie historię kościelną na Wesołej⁶ i pracuje dalej jako pisarz...”

Na tym kończy się tekst o. Konopki. Kropki na końcu pozostawiają w myśl autora miejsce na ewentualne dalsze uzupełnienia. Czy przypuszczał, że jego życie będzie tak bogate w wydarzenia? Nekrolog ten nie został nigdy ogłoszony. Warunki wojenne, w których jego autor zginął, nie pozwalały na jakiegokolwiek ogłaszanie, a sam tekst spoczywał wówczas głęboko zagrzebany w archiwum prowincji i zapewne nikt o nim w ogóle nie wiedział. Dziś jest jeszcze jednym dowodem oryginalności jego autora.

³ Michał Maćkowski SJ (1849-1901), do zak. wst. w 1867, święcenia kapł. otrzymał w 1880, misjonarz wśród Polaków na Śląsku i na Węgrzech, długoletni przełożony w różnych domach zak., m.in. rektor w Zakładzie Chyrowskim.

⁴ Scholastykami nazywani bywają w Towarzystwie Jezusowym klerycy studiujący filozofię.

⁵ Podczas tej pielgrzymki zwiedził o. Konopka Francję i Hiszpanię.

⁶ Wesoła – dzielnica Krakowa, gdzie przy ul. Kopernika znajduje się Kolegium oo. Jezuitów z Wydziałem Filozoficznym.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Było to w roku 1915 na Boże Narodzenie, w dzień św. Jana Ewangelisty 27 grudnia. Siedziałem w Opolu na G. Śląsku w pokoju o. Ranoszka SJ, który sprawował funkcję wojskowego proboszcza na cały Górny Śląsk – obok mnie jakiś nieznany mi bliżej ksiądz Niemiec. Czekamy na obiad, wtem odzywa się telefon. Ksiądz Ranoszek nerwowo zrywa się z krzesła i chwyta za słuchawkę:

– *Hier Dr Ranoszek* – woła. Telefon jak zwykle szeleści, a szelest ten i szmer przerywa tylko raz po raz odezwanie się księdza Ranoszka:

– *Jawohl, jawohl* – lecz wśród tego szelestu zdawało mi się, że chwyciłem słowa brzmiące *Konopka... Krakau*.

A więc to o mnie telefonowano, pomyślałem, co to może być? Lecz prosta delikatność nie pozwalała mi przerywać rozmowy telefonicznej. Wreszcie ks. Ranoszek składa słuchawkę, podchodzi do nas z bardzo poważną miną i mówi:

– *Hochwurden, ich gratuliere Ihnen*¹.

– *Nah nuh, was ist los?*².

– *So eben kommt die Depesche, Sie sollen sofort nach Krakau, Sie sind als Feldkurat an der Front angestellt. Meine Gratulation*³.

Ja wysłuchałem tego obojętnie, bo i czegoż miałem się emocjonować. Ksiądz Niemiec spojrzał na mnie i wreszcie po chwili zapytał:

– *Was machen Sie also?*⁴.

– *Zuerst werde ich Mittagessen nehmen, nachher packe ich alle meine Sachen zusammen und mit dem nächsten Zuge um 3 Uhr fahre ich nach Krakau*⁵.

¹ Księżę, gratuluję księdzu.

² No dobrze, ale co się stało?

³ Zaraz nadejdzie depesza. Ksiądz musi się udać niezwłocznie do Krakowa. Został ksiądz skierowany na front jako kapelan wojskowy. Moje gratulacje.

⁴ Cóż więc ksiądz uczyni?

⁵ Najpierw zjem obiad, potem spakuję moje wszystkie rzeczy i najbliższym pociągiem o godz. 3 pojadę do Krakowa.

Na ten mój cyniczny spokój rzuciło coś Niemca do góry.

– *Das kann nur ein Jesuit so was leissen. Sie sind doch an der Front angestellt, und so ruhig nehmen Sie das an?*⁶.

Dopiero teraz zrozumiałem Niemca, że u nich największym zaszczytem księży jest iść na front i dlatego ten ksiądz nie mógł zrozumieć mej obojętności, i brał za szczyt umartwienia, co zdawało mi się zupełnie naturalnym. Wstąpić do czarno-żółtej armii – to znowu nie tak wielki honor dla mnie.

W 2 godziny później jechałem kurierem do Dziedzic. W Dziedzicach dopiero dowiedziałem się, że ojciec prowincjał przysłał telegram i że mam natychmiast jechać do Krakowa i jako kapelan Legionów Polskich na front.

Kapelan Legionów! Nie bardzo mi się to uśmiechało. Wiedziałem, że tam są same socjały, malarze, artyści teatralni itp., że tam ponoć nie ma żadnego ładu i porządku, a tylko intrygi, kłótnie i bieda, ale co robić. Trzeba słuchać.

Pakuję tedy kosz z moimi rzeczami i nazajutrz rano 28 XII stanąłem w Krakowie. Tutaj o. prowincjał Bapst⁷ powiedział mi, że z 4 pp⁸ Legionów Polskich przyjechał oficer do Krakowa od płk. Roi⁹ do krakowskiego biskupa, prosząc o kapelana, ale jezuitę. Ojca prowincjała zawiadomił o tym Książę-biskup¹⁰. Długo debatowano, kogo dać. Miał

⁶ Tak może postąpić tylko jezuita. Został ksiądz skierowany na front i tak spokojnie to przyjmuje?

⁷ Piotr Bapst SJ (1845-1924), do zak. wst. w 1867, święcenia kapł. otrzymał w 1879. W l. 1896-1900 był rektorem konwiktów w Chyrowie, następnie w l. 1912-1916 prowincjałem.

⁸ 4 pp wchodził w skład II Brygady Legionów Polskich, która powstała we wrześniu 1914. W początkowym stadium liczyła dwa pułki: 2 pod komendą płk. Zygmunta Zielińskiego i 3 pod (wówczas) kapitanem, lecz wkrótce awansowanym w marcu 1915 na pułkownika, Józefem Hallerem. Do nich doszedł utworzony w 1915 4 p płk. Roi, do którego otrzymał właśnie przydział o. Konopka.

⁹ Bolesław Roja (1876-1940), gen. dyw. WP. W l. 1899-1903 oficer armii austr. Od 1914 w LP kolejno dca batalionu w 4 p, później jego dca, od 1917 dowodził III Brygadą. W Polsce niepodległej dca GO „Wschód”, DOG „Kielce”, „Pomorze”. Od 1 X 1922 w st. spocz. W okresie okupacji hitl. kierował PCK w Krakowie. Aresztowany i osadzony w Sachsenhausen i Oranienburgu zostaje tam zgładzony w 1940.

¹⁰ Chodzi o księcia biskupa Adama Sapiechę (1867-1951), podówczas bpa krakowskiego, później abpa – metropolitę i kardynała, w czasie I wojny światowej kierownika założonego przez siebie charytatywnego Komitetu Książęco-Biskupiego, gorącego rzecznika

ić o. Bisztyga¹¹, ale ponieważ był starszym, więc ostatecznie na mnie jako młodszego padł ten los, tym bardziej że Roja prosił o księdza, który by władał biegle po niemiecku i był wszechstronnie wykształcony, ponieważ, jak sam mi po tym mówił, „raz po raz mamy Niemców, ludzi wykształconych fachowo, więc musi się w sztabie mieć kogoś takiego, kto by mógł tym Prusakom dotrzymać towarzystwa i godnie reprezentować pułk”.

Tegoż dnia, przed południem jeszcze, zgłosił się do mnie p. Kosiński, oficer legionowy, który właśnie po mnie przyjechał. Robił on wrażenie nieustraszonego żołnierza, starego wiarusa, osmolonego prochem, opalonego stepowym wiatrem i koło czterdziestki. Chciał już nieco protekcyjnie wprowadzić mnie w sekreta wojskowego wyekwipunku, ofiarował się nawet pójść zaraz, by kupić futrzaną świtkę, mundur itp., ale wkrótce poznałem, że ten żołnierz nie taki straszny. Ja, może dzięki temu, że od roku już załatwiałem sprawunki naszego o. Rudnickiego¹², kapelana 13 pp wojsk austriackich, miałem nieco doświadczenia, nadto kupno wzięła na siebie pani prof. Jamrógiewiczowa, żona mego kolegi i przyjaciela, która ekwipowała już do Legionów brata swego Władysława Kłobukowskiego. Ja zaś z p. Kosińskim poszedłem do płk. Roi, który przebywał chory w Krakowie. Tutaj widziałem znowu, że ten straszny oficer Kosiński jest całkiem małą figurką wobec Roi. Roja spokojny, bardzo grzeczny. Czulem, że uważał się za uszczęśliwionego takim nabytkiem jak ja. Honory mi więc okazywał. Może naprawdę był rad, że mnie dostał, ponieważ jako człowiek „krakowski” musiał znać moje nazwisko. Ja też powziąłem do niego sympatię, gdyż widziałem w nim człowieka, któremu o mnie chodziło i z którym złączyła mnie później wspólna praca w pułku.

powrotu G. Ślaska do Polski, podczas II wojny światowej niezłomnego obrońcę Polaków wobec niem. władz okupacyjnych w Krakowie.

¹¹ Kazimierz Bisztyga SJ (1845-1934), do zak. wstąpił w 1885, święcenia kapłańskie otrzymał w 1897. Był profesorem filozofii i teologii, ale głównie misjonarzem ludowym, po o. Antoniewiczu najsławniejszym. Przemawiał również do ludu przez redagowane przez siebie przez lat kilkadziesiąt „Głosy Katolickie”.

¹² Ludwik Rudnicki SJ (1877-1933), do zak. wst. w 1892, święcenia kapł. otrzymał w 1907. Całą I wojnę światową spędził na froncie jako kapelan 13 pp austr. oraz szpitali wojskowych. Przez jakiś czas był redaktorem „Posłańca Serca Jezusowego”. Przed śmiercią profesor sem. duch. w Łodzi.

Ucieszyło mnie to, że Roja prosił, by jak najprędzej jechać, ale żeby wziąć ołtarz polowy, bo w pułku go nie ma. Obliczyłem, że w 3 dniach powinienem być gotów. Uradowany tym bardzo serdecznie mnie pożegnał.

Ja tymczasem, pełen niepewności i trwogi o przyszłe me prace, obchodziłem krakowskie kościoły i klasztory, polecając się modlitwom. Poszedłem też do Księcia-biskupa. Uderzyło mnie, że chociaż grzecznie mnie przyjął, to jakby żywił pewne powątpiewanie, czy uda mi się cokolwiek zrobić.

– Idź, ojcze, niech Pan Bóg błogosławi, bo tam jest dużo do zrobienia. A czy ojciec też będzie nosił rewolwer? Bo tutaj, przedstaw sobie, ojciec, przyszedł do mnie kapucyn z rewolwerem za pasem¹³.

Odpowiedziałem, że nie wiem, po co księdzu rewolwer.

Trzeciego dnia byłem gotów, ale p. Kosiński jeszcze nie, więc musiałem czekać. Jakoś z dnia na dzień zwlekał i straszył mnie, że ja sam nie dojadę do frontu, że jeszcze ma zabrać jakiegoś nowego oficera p. Myszkowskiego, ale na pewno 6 stycznia wieczorem jedziemy na Dębicę-Lublin. Mimo to zwlekał z dnia na dzień. Był już 9 stycznia. Dłużej nie chciałem czekać. Pojechałem na kolej sam. *Ofener Befehl*, czyli dokument podróży, miałem w kieszeni. Wielką skrzynię z ołtarzem polowym nadaję do Kowla, a sam czekam koło kasyna Kosińskiego, ale go nie widać. Wtem przychodzi jakiś nowy wojskowy. Patrzy na mój mundur, na czapkę rogatywkę.

– A może to ksiądz Konopka?

– Tak jest.

– Jestem Myszkowski, ksiądz pewnie czeka na Kosińskiego?

– Tak.

– Ja też, ale on bestia pewnie nie przyjdzie. Został ze swymi przyjaciółkami i przyjaciółmi. Jeszcze o jeden dzień chciałoby mu się przydłużyć. No więc my i bez niego pojedziemy. Trudno będzie, ale razem damy sobie radę. Kto wie, kiedy się on wybierze. Jak ksiądz chce, to jedziemy.

¹³ Chodziło pewnie o o. Kosmę Lenczowskiego, kapucyna, kapelana I Brygady, później po o. Konopce 4 pp, który pisze w swoim *Pamiętniku Kapelana Legionów*, s. 133 (por. także s. 18), że rewolwer mu подарowany był duży, kieszenie się pod jego ciężarem poobrywały, „powiesił go więc na pasku...”.

I pojechaliśmy pośpiesznym, który się włókł od 6 wieczór i gdzieś około południa przybyliśmy do Lublina. Zajechaliliśmy z rzeczami do Victorii. Po drodze mijane miasto, spalona stacja także, bo pół roku temu przeszedł front. Ludzi bardzo mało. Przez pół dnia nie było co robić, siedziało się to w cukierni, to w restauracji, byle doczekać do wieczora i do pociągu. Kosińskiego nadal nie było.

– Będzie ksiądz widział, on wieczorem przyjedzie – mówił Myszkowski – jak zmiarkuje, żeśmy bez niego wyjechali, złęknie się i przyjedzie.

Istotnie, skoro nadszedł krakowski pociąg, zobaczyliśmy Kosińskiego, jak wysiadł z paru legionowymi oficerami. Udawał bardzo sfatygowanego podróżą:

– Ja tu przenocuję w Lublinie, a jutro w Kowlu się spotkamy – powiedział.

Jechaliśmy całą noc do Kowla. Rano udaliśmy się z dworca do miasta. Sam poszedłem do kościoła, by odprawić mszę św. Staruszek, ksiądz Szuchabski narzeka na szkody, jakie mu Prusacy porobili. Miał przygotowany materiał na nowy kościół, zabrali. Las brzozy mu wycięli, co robić. Tutaj w Kowlu dowiedzieliśmy się, że 4 pp LP stoi tam, gdzie był, musimy dojechać do stacji Maniewicze¹⁴, a stamtąd coś ze 40 km furami. Przenocowaliśmy i rano wczes na dworzec. Tutaj zobaczyłem tzw. *Labestelle* i osobną salkę dla oficerów. Wydawali tu za darmo śniadania, obiady i kolacje. Zdziwiła mnie ta czarowna moc, jaką ma *Ofener Befehl*. W kolei służy za bilet, w mieście daje kwaterę, a tutaj karmi, nie żądając żadnych podpisów, pieczętek... nic. *Ofener Befehl*. Weszło się do *Labestelle*, zasiadło za stołem i już nadchodzi żołnierz, pytając, czego potrzeba. „Kawa czy porcja gorącego mięsa?”. Później, w 1916 roku to pisali już zaświadczenia na tych *Befehlach* i potracali za wszystko po kilkadziesiąt halerzy.

Tutaj na stacji znalazłem mój ołtarz polowy, kazałem go przeadresować do Maniewicz i sam wsiadłem do pociągu. Wagon był przepełniony legionistami, znalazł się i Kosiński, którego zaczęli strasznie

¹⁴ Maniewicze na Wołyniu, w czasie I wojny światowej ważna stacja przeładunkowa. Usadowiły się w nich przez pewien czas sztaby II Brygady i 2 pp.

naciągać kpt. Bończa¹⁵ i paru innych. Podziwiałem ich humor, ale i ordynarne zachowanie. Trochę kpili z „Księdza Kapelana”, trochę patrzyli spode łba, a ja starałem się odgadnąć ich psyche. Przede wszystkim miałem wrażenie, że są strasznie młodzi i strasznie płytki, jakby „nieukończone gimnazjalisty”, odziane w oficerskie mundury, ale gorący patrioci. Do bitki się palą, nie tylko na gębę.

Po paru godzinach stajemy w Maniewiczach. Ja nie mam nikogo, więc sam dźwigam mój plecak i kuferek, a skrzynia z ołtarzem polowym zostaje między szynami. Mówią mi, że nie zginie, jutro się ją zabierze, a ja, aby nie zgubić się, muszę się trzymać kupy.

Idziemy do austriackiego dowództwa, gdzie wydają nam karty do „hotelu Maulwier”, taka ziemianka-hotel, ale porządny, czysty, więc nocujemy. Telefonicznie porozumieli się już z pułkiem i jutro rano mają przybyć 2 fury.

Maniewicze, kilka miesięcy temu zdobyte, roją się od bud, baraków i ziemianek, a budują coraz to nowe. Przy stacji magazyny, z jednej strony pruskie, z drugiej austriackie, kolejki, telefony. Jest naturalnie *Labestelle* i „Kasyno”, w jakiejś marnej budzie, ale jest. Rano wypoczęci otrzymujemy „śniadanie”, tj. czarną kawę i czarny chleb. Gdy zajechały fury, ja idę szukać mojego ołtarza, a tu go nie ma. Przekonałem się o lekkomyślności naszych oficerów. Nie ma, to się znajdzie później. Nie ma co czekać i tak brak miejsca. Dałem tylko meldunek w dowództwie dworca i depezę do Kowla, i jazda do pułku. Po drodze, trwającej może 2-3 godziny, widzę patrole i warty przy drodze, które przeglądają nasze dokumenty. Przeważnie Prusacy. Wokół typowe Polesie, piaski, bagna, lasy sosnowe i znowu piaski, i znowu bagna, i znowu lasek. Wreszcie widzimy w lesie jakieś chaty-baraki, dachy przykryte gałęziami, kręci się nieco żołnierzy, był to tren pułkowy. Z chaty wychodzi jakiś młody oficer, witając się:

– Jak się masz, Wojtek?

– A gdzie Słuszkiewicz¹⁶?

¹⁵ Władysław Bończa-Uzdowski (1887-1957), gen. bryg. WP. W LP od 1914 do 1917. W WP od 1918 kolejno dca pułku, brygady, 3 DP, 28 DP, którą dowodził we wrześniu 1939. Po kapitulacji w niewoli niem. Zmarł w kraju 21 III 1957.

¹⁶ Jan Słuszkiewicz, inż. por. 4 p II Brygady. Pomagał zawsze o. Konopce przy stawianiu ołtarzy i kaplic polowych.

– Wyjechał na urlop, ja go zastępuję.

– A to dobrze, co słyhać?

Wchodzimy do chaty, zaraz pojawiła się wódka, chleb, słonina. Opowiadają o tym i o owym, ale ja siedzę jak na tureckim kazaniu, bo nikogo nie znam z tych, o których toczy się rozmowa. Miarkuję jednak, że ci ludzie, choć sobie obcy, związani są jedną ideą, jakby braterstwem – braterstwem broni. Dowiedzieliśmy się, że dziś akurat obchodzą w pułku uroczystość powstania styczniowego (10 I), wobec tego jedziemy też do pułku. Kpt. Bończa, nie wiem, czy wobec mnie tylko, okazywał się bardzo ordynarnym, ale i odważnym, a na wieść, że jakiś oddział Kozaków przedarł się przez front i grasuje po naszej stronie, kazał sobie dać swego konia Sońkę, śliczną klacz syberyjską, zimnokrwistą i czarną jak szatan, i bez broni popędził naprzód. Potem jednak się zatrzymał bliżej nas. My, opatrzywszy karabiny, jedziemy we 2 fury dalej do pułku stojącego pod Optowem. Ze 2 godziny jechaliśmy po korzeniach i bagnach, po drodze kilka trupów końskich, poza tym spokojny, zimowy pejzaż poleski. Śnieg, bagno, piasek. Wreszcie stajemy w lesie. Do stojących w ordynku żołnierzy przemawia jakiś oficer stojący u stóp wielkiego białego orła, zbitego z brzoźowych białych gałęzi; mówi, zacinając z góralska o żołnierzu, co się krwawi za Polskę – „Chłopcy, wicie”. Takie frazesy rzuca raz po raz, coś jakby na czerwonym wiecu socjalistów w Krakowie.

W tłumie zobaczyłem ks. Gilewicz¹⁷. On pierwszy podszedł, zapytał, co tu robie, skąd się wziąłem. Opowiedziałem mu swoje wstąpienie do wojska. Zauważyłem, że był skąpym w informacjach, jakby się bał mówić, nie wiem, czy dlatego, żeby nie przeszkadzać w przemówieniu majora Galicy¹⁸, czy miał przede mną jakieś sekrety. Ale wnet skończyła się mowa wezwaniem, by na znak protestu „krwawiącego się” żołnierza polskiego dać w południe salwę ostrymi nabojami do Moskali. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że to ma być front. Ale cóż? Spokojnie,

¹⁷ Ks. Józef Gilewicz, kapelan 4, później 5 pp. Przy przejściu II Brygady przez front rosyjski dostał się wraz z innymi do obozu w Huszt, po wyzwoleniu z obozu do wojska już nie powrócił.

¹⁸ Andrzej Galica (1873-1945), gen. bryg. WP. Od sierpnia 1914 w II Brygadzie LP kolejno jako dca batalionu w 4 i 6 pp. Internowany w Huszt, potem na froncie wołoskim. W l. 1926-1931 dca X Ok. w Przemyślu. Od 1931 w st. spocz., następnie senator RP.

cicho gra muzyka, żadnych strzałów ani ran, ani krwi. Owszem, idziemy do ziemianki i tam w półmrocznej sali zasiadamy wszyscy do obiadu. Wódka marnie zrobiona, jakieś twarde mięso, kasza, czarna kawa obrzydliwego smaku. Major Galica, któremu się melduję, udaje zdziwienie. Po com przyjechał? W rozkazie nic nie było, on o niczym nie wie, zresztą ma kapelana z 6 pp LP – Gilewicza, to wystarczy. Zresztą nie ma dla mnie miejsca i skoro mnie pułkownik ściągnął, to muszę na niego poczekać, niech on to załatwi. Muszę więc wrócić do prowiantury i tam w trenie mieszkać, póki się nie zadecyduje moja sprawa.

Oficerowie, z którymi się przywitałem, przedstawili mi się na ogół bardzo sympatycznie. Wszystko młodzi chłopcy, patrzyli na jezuicie z pewnym szacunkiem, ale bardzo życzliwie.

– Ksiądz nie był jeszcze na wojnie?

– Nie.

– Tu się ksiądz kapelan przyzwyczai, nasz pułk to porządny pułk. Jak Roja przyjedzie, to zaraz będzie wszystko inaczej wyglądać.

Odczułem, że Galica nie był szanowanym, uważano go w 4 pp za obcego (podówczas) i wszyscy żyli Roją, który też wywarł charakterystyczne znamię na oficerach i ludziach. Ale ja musiałem wrócić do trenów i tam czekać przybycia pułkownika. Trochę jeździłem konno, to znowu wychodziłem w odosobnione miejsca w lesie i robiłem „inspekcje”, bardzo ściśle, mimo mrozu, za „blondynkami”¹⁹.

Zaczęły się nudne dni, nie było formalnie co robić. Obchodziłem kancelarie pułkowe przy trenach i zaznajamiałem się z zatrudnionymi w nich oficerami.

Był tam Żydek Feuerstein, z austriackiego feldfebla rachunkowego, naślany nam przez Austrię wojenny podporucznik. Wstrętny Żyd, któremu, nie wiem dlaczego, imponowałem tak, że afiszował się swą przyjaźnią ze mną. Uważał się za człowieka o *echt deutscher Kultur*²⁰, jaką przesiał w Berlinie, gdzie miał *eine kleine Kleiderfabrik*²¹, w której pewnie z dwóch używanych męskich garniturów robił jeden nowy, a nabył tej kultury bardzo prędko w kilku latach. Często mówił o swej

¹⁹ Autor ma na myśli insekty. Z określeniem tym jeszcze się nieraz spotkamy.

²⁰ O prawdziwie niemieckiej kulturze.

²¹ Taki mały zakład konfekcyjny.

żonie *aus sehr guter deutscher Familie*²² i pokazywał mi jej fotografię, również o bardzo dobrych cechach semickich. Na zapytanie, skąd umie tak dobrze po polsku, przeczytał, jakoby dobrze po polsku umiał mówić, zresztą uczył się tego języka w Brodach²³, tam się narodził i chodził kilka lat do gimnazjum. *Echt deutscher Kultur!*

Drugim oficerem był chor. Banzer, z zawodu inżynier, ponoć z Kresów, zawołany fotograf, ale niemożliwy pedant. Z Feuersteinem się nie lubili i sam nie był lubiany w pułku dla swej skrupulatności w rachunkach, ale to może tylko wyjść na jego pochwałę. Skreślał też oficerom rachunki, ściągając zaległości bez miłosierdzia. I dlatego może nie robiono w naszym pułku takich nadużyć, bo się go obawiano. W pożyciu był grzeczny, przynajmniej względem mnie i nieraz mogłem się przekonać o jego życzliwości, prawdziwym koleżeństwie, pełnym uszanowania.

Szefem intendentury był chor. Wojciech Kołodziejcki, zastępujący bawiącego na urlopie ppor. Słuszkiewicza. Chłopiec młody, syn właściciela cegielni z Tarnowa i sam zawodowy ceramik, przedsiębiorczy, gospodarny, wesoły, a przy tym sprytny. Umiał kręcić się i wiedział, jak na czym zaoszczędzić, aby mieć potem czym popisać się z okazji uroczystości lub świąt. Ale bo też do niego wciąż zajeżdżali oficerowie, jak do karczmy, wszystkich musiał przyjmować. Dbał też bardzo o ludzi, pilnował nabożeństwa i ułatwiał mi je stale, nieraz pomagał swoim doświadczeniem.

Wśród podoficerów w trenie wspomnieć należałoby i o sierżancie bliżej nieokreślonej funkcji – Sobolewskim. Pochodził gdzieś spod Bohorodczan, i gdy tam stał Roja podczas karpackiej kampanii, kwatrował u niego, mówili, że było między nimi jakieś pokrewieństwo. Ze swą córką zwaną Mariankiem i synem poszedł do Legionów. Syn, lat 15, pierwszy szuler karciany. Marianek była sierżantem w kancelarii pułkowej, mile widziana przez dowództwo, jako ładna dziewczyna. Przystojnym oficerom załatwiała karty służbowe od razu, inni „w drodze służbowej” odczuwali brak tych względów. Gdy przybyłem do pułku, już jej nie było, ponoć musiała dla pewnych powodów wyjechać. „Nie służyło jej – mówił ojciec – chorowała jakoś, po czym poszła

²² Z bardzo dobrej rodziny niemieckiej.

²³ Miasteczko w dawnej Galicji, dziś na zach. Ukrainie.

uczyć się do seminarium”. A sam stary Sobolewski, tercjarz, który codziennie cały brewiarz tercjarski odmawiał, myślę, że tak samo patrzył przez palce na córkę, jak obecnie na syna.

W trenie bawił też i Szwejlik, inżynier lwowskiej politechniki, sprawujący funkcję poczmistrza. Nudne zajęcie: codziennie jechał do Maniewicz, wciąż na wozie, miał rangę sierżanta, a jednak ani razu nie żalił się, że nie może użyć swej wiedzy jako inżynier i czasem tylko nadprogramowo dawali mu najtrudniejsze techniczne rysunki, jakie w wolnych chwilach najchętniej wykonywał.

Przez kilka dni, gdy byłem w trenie, mieszkalem w budce, takiej typowej leśnej budce na Polesiu, czyli w chacie składającej się z jednej izby szerokiej na 5, długiej na 8 kroków. Przy oknie coś na kształt stolika, przy którym można się było ogolić lub napisać list. W jednym kącie stał blaszany piecyk polowy, a na całą chatę była jedna wielka prycz, na której leżało nas obok siebie czterech. W razie przybycia „gości” spało nas i więcej. Mówiono mi, że „blondynek” tam nie ma, ale tak każdy mówił w całym pułku, lecz nikt w to nie wierzył.

Trzeciego dnia po mym przybyciu nadjechał powozem w trójkę koni pułkownik Roja. Od razu wziął mnie do siebie, dziwił się, czemu nie jestem w pułku. Powiedziałem, co było powodem i że jestem niepotrzebny, więc może lepiej wróciłbym do Krakowa. Zauważyłem, że nie był kontent z takiego stanu rzeczy i powiedział, żebym zaraz pojechał do ks. Panasia, który jest przy komendzie Legionów, przedstawić mu się, a jutro wezwie mnie do pułku. Do ks. Panasia pojechałem zaraz, przyjął mnie zdziwiony i zły na Roję.

– Co Roja takie rzeczy robi? Właśnie miałem innego księdza dać. On kapelanów mieni, jakby był biskupem.

Ks. Panaś²⁴ był obrażony, ale nie na mnie, jednakowoż naturalnie niechęć tę odczułem, chciał widać, abym wiedział, jak poważną jest

²⁴ Ks. Józef Panaś (1887-1941), współorganizator drużyn sokolich i strzeleckich, z jedną z nich z Dobromila stanął do dyspozycji Legionu Wschodniego, sam jako kapelan. Po rozwiązaniu się Legionu Wschodniego służy kolejno w 3 p II Brygady, bierze udział w jej walkach w Karpatach już jako dziekan „Żelaznej Brygady”, jest superiorem duszpasterstwa w LP i w Polskim Korpusie Posiłkowym. W Polsce niepodległej dziekan w DOK, po zamachu majowym opuszcza szeregi wojskowe i działa w ruchu ludowym w opozycji do rządu. Po wrześniu 1939 należy do WZW we Lwowie. Aresztowany przez bolszewików

figurą. Istotnie, jako tak zwany superior polowy LP, organizował służbę duszpasterską i miał w tym zasługi. Od początku był z legionami, ostrzelany, nie dbał sam o siebie, wiecznie obdarty i brudny, a Polak gorący, wydawał mi się nawet szowinistą. O żołnierzy dbał nadzwyczaj. Co do mej sprawy, niby niczego nie obiecywał.

– Roja był u mnie, ale ja mu dałem odczuć – mówił – że są pewne trudności.

Były, istotnie nie miałem papierów od biskupa.

– Ksiądz będzie w 4 pp, tylko trzeba będzie pewne formalności załatwić.

Nazajutrz wezwał mnie telefonicznie Roja. Kazał się przenieść do pułku. Nie było nigdzie miejsca w ziemiance, więc nazначył mi spanie u adiutanta pułkowego, dra Zarzyckiego²⁵. Na małej ławeczce, długiej na metr, miałem spać i pod głowę kładłem kuferek. Naturalnie, że ziemianka adiutanta to punkt centralny pułku, telefon wciąż budzi, ludzie stale przychodzą. Takie spanie wymęczyło mnie okropnie.

Sam por. Zarzycki, bardzo miły człowiek, dr filozofii, profesor łaciny i greki z Tarnowa. Poznawszy we mnie też profesora, chociaż młody człowiek, ale stateczny, poważny, systematyczny i ścisły służbista, był mi bardzo życzliwy. Ja również polubiłem go bardzo, ponieważ odbijał od innych i gruntownym wykształceniem, i obowiązkowością, i powagą. Był bez wątpienia najlepszym oficerem pułku, a przepisy i wskazówki taktyczne studiował z taką pedanterią, jak gramatykę grecką.

Sierżant Dołżycki prowadził „pedagogicznie” prowianturę batalionu. Tutaj też wydawali 2 gazetki polowe: plut. Jarkowski redagował „Obijaka”, a plut. Dalewski „Relutona”.

ginie podczas nocnego przesłuchania 4 IV 1941. Pozostały po nim *Pamiętniki Kapelana Legionów Polskich, Rarańcza, Z ciężkich dni Przemyśla i My, Druga Brygada*. Ułożył również książeczkę do nabożeństwa dla legionistów, „która ogólnie podobała się wszystkim”, jak sam o niej napisze. O. Lenczowski napisze o nim w swoim *Pamiętniku Kapelana Legionów*, że „Ks. Panaś to rozważny, dzielny kapelan przy Kom. Legionów..., ale Pierwsza Brygada nie uznaje jego poleceń...” (dz. c., s. 96). O. Lenczowskiemu chodziło pewnie o to, że mimo urgensów ks. Panasia I Brygada nie oddała kapelanom prowadzenia ksiąg metrykalnych. Dopiero po przedstawieniu sprawy Piłsudskiemu przez ks. Panasia „Komendant wydał odpowiednie rozkazy podległym mu oddziałom” (Ks. J. Panaś, *Pamiętniki...*, s. 118).

²⁵ Ferdynand Zarzycki (1888-1959), gen. bryg. WP, oficer Leg., polityk. W Polsce niepodł. w l. 30. minister przemysłu i handlu, senator RP, od 1931 w st. spocz.

Sztab miał lekarza pułkowego dra Emila Bobrowskiego²⁶, znanego posła socjalistycznego z Krakowa. Bawił on obecnie na tyłach, gdzie „robił politykę”, poznałem go dopiero później. Zastępował go dr Leon Sternberg, młody lekarz, były asystent na klinice prof. Marsa we Lwowie. Bardzo miły, serdeczny, zżył się od razu ze mną jako „łapi-duch”. Jediną może jego wadą było to, że serdecznie nienawidził „parszywych Żydów”.

Doskovil, podchorąży, komendant telefonów, młody, ładny brunecik, wiecznie siedział w swej telefonicznej budzie. Miało się wrażenie, że nic nie robił, tylko książki czytał.

„Giewont”, czupurny, mały, podchorąży, student politechniki w Brukseli czy Gandawie, był oficerem minierem, czyli ogniomistrzem. Zakładał wciąż nowe miny, wymyślał coraz to nowe, działające automatycznie kontakty, wściekał się ze złości na por. Kamińskiego, komendanta 3 kompanii w 3 baonie, że ma kota tresowanego i co mi-nę założy, by złapać na niej jakiegoś Moskala, oho, już kot przeleciał i mina do góry.

Nie można też pominąć dwóch braci – nosili nazwisko Mucha. Byli uczniami gimnazjalnymi z Bochni. Obaj jako muzykanci należeli do sztabu, nie bez tego, że zwłaszcza młodszy z nich pozował często bratu do zdjęć *Na placówce, Warta, Tyraliera w poleskich bagnach*, gdyż jego brat był pułkowym fotografem i wydawał ładne albumy 4 pp. Młodszy celował jako kabaretowy śpiewak niecenzuralnych piosenek, Roja nieraz mu mówił: „Mucha, szanuj gębę”.

Najważniejszą osobą w menaży był sierżant, nasz kucharz, w „cy-wilu” dekorator kanapek u Hawełki²⁷ w Krakowie, oryginalna specjalność... ale czuł w sobie krew bitnych Polaków i wprosił się do służby frontowej. Przeniesiono go więc do 4 baonu. Od tej chwili raz po raz fotografował się z rewolwerem na pasie i te kartki posyłał na *Hinter-*

²⁶ Emil Bobrowski (1876-1938), lekarz sztabu Leg., działacz socjalistyczny, od 1913 poseł do Rady Państwa, członek Strzelca i Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Od sierpnia 1914 w NKN. Występował wbrew większości socjalistów za przynależnością wschodniej Galicji do Polski. W Polsce niepodl. senator.

²⁷ Sławna przed wojną restauracja w Krakowie. Jej właściciel stał się jeszcze głośniejszy, gdy wysłany z Ameryki telegram: „Hawełka – Europa” trafił do adresata.

land, aby udowodnić, że jest żołnierzem i to takim, że strzelać musi do Moskali.

W ważnej funkcji gotowania tzw. czarnej kawy, kaszy i twardego mięsa zastąpił pana sierż. Koson, który był kucharzem, bo mu kazano.

Tak mniej więcej przedstawiał się pułk, taką samą mieszaninę przedstawiały całe legiony. Przeważnie młode chłopaki, którym śmierzdziała „sztuba” z gramatyką i tabliczką mnożenia, akademicy, którzy woleli wcześniej zwać do Legionu, niż za parę miesięcy stanąć na *K.u.K. Assentierung*²⁸. Tu i ówdzie znalazł się starszy człowiek, rzadko wiejski chłopak – taki był stale przy koniach w taborze. Zbieranina kpiarzy, malkontentów, ale tylko pozornie. Każdy za Polskę gotów cierpieć, choć go wszy gryzą, a żołnierz taki ambitny, jak ten góralczyk, co to w Nowym Targu wzięli go do Legionów i ustawili w szeregu, a mamusia żegnała go ze łzami i chciała bodaj ręką dotknąć czoła chłopaka, a usłyszała: „Mamusi, nie ruchajcie, bom już polski żołnierz”. Honorne były chłopaki, brygada nad brygadą, pułk nad pułkiem, baon, kompania, pluton prześcigały się nawzajem, żeby pokazać, że są prawdziwymi polskimi żołnierzami, jedni lepsi od drugih.

Rola-Janicki lat 21, młody, ale już prawnik skończony z Krakowa, sławny patrolowiec, zawsze uśmiechnięty, bo też uśmiechało mu się szczęście. Pod Koszyszcami, po ataku wieczorem o godzinie 9 idzie z patrołą naprawiać druty kolczaste, w ciemności dostrzega kogoś żołnierza, pewny, że to idzie jakiś nasz legun, więc aby go nastraszyć, woła: *Zdaj się!*, a ten istotnie podnosi ręce do góry. Był to żołnierz rosyjski, „łącznik”, który niósł rozkaz pisemny, że za 2 godziny ma nastąpić rosyjski kontratak. Janicki daje zaraz o tym znać do pułku. Roja przygotowuje się, zbiera całą artylerię i gdy o godz. 11.30 w nocy pada pierwszy strzał po stronie rosyjskiej, nasi otwierają huraganowy ogień i niszczą całą piechotę rosyjską. Nad ranem idzie patrol z kpt. Bończę-Uzdowskim, nie natrafia ani śladu piechoty wroga. Wtem słyszą jakieś głosy, charakterystyczne przy odwijaniu drutu z kołowrotka... Zaczaili się... patrzą, a tu kilku Moskali, patrol, zakłada telefony. Zafasowali ich bez wystrzału i dowiedzieli się, że wkrótce pojedzie tędy jesz-

²⁸ Cesarsko-królewski pobór.

cze sam porucznik na kontrol telefonu. Bończa odsyła jeńców, a sam z dwoma ludźmi czai się w krzakach. Wkrótce słyhać kopyta konia, na ślicznej, czarnej jak szatan klaczy jedzie oficer... Przypada Bończa z boku, rewolwer w rękę: *Zdajsia!* Żołnierz trzyma już konia za uzdę, drugi stoi z gotowym karabinem. Hardy jakiś oficer szarpie się, a du-reń żołnierz wystrzelił i popsuł całą sprawę. Opowiadał mi Bończa: „Musiałem prędko odchodzić z jeńcem i koniem pod ogniem karabinów rosyjskich, a tak można by było zająć ich wszystkich”. Konia tego dostał potem Bończa na własność, wspaniała syberyjska klacz Sońka. Jak szła ostro z rozwianą czarną grzywą, to naprawdę jak szatan. A oficer to był Polak – Dąbrowski. Wiadomo, dlatego taki hardy, nie chciał się poddać.

Druga taka patrol Janickiego to pod Optowem²⁹, gdzieś w marcu 1916. Pamiętam, było to we czwartek, ponieważ od paru tygodni nie było nic nowego, więc Roja każe Roli-Janickiemu iść na nocną patrol, poszedł i przyniósł szkic placówek rosyjskich koło „Ornelle”, ale wiadom tym zaalarmowane placówki rosyjskie zaczęły strzelać, nawet sam Rola został lekko ranny w palec. O godz. 6 rano wrócił Rola z patroli, daje Roi szkic narysowany i melduje, że placówki rosyjskie są zaalarmowane i pewnie czekają z zasadzką. Godusza, starszy żołnierz, za to, że bardzo odważnie się zachowywał na tej patroli i własną ręką złapał za kark Moskala skradającego się w zasadzce, i cichutko, bez alarmowania innych Moskali, przyprowadził go do nas, został podany od razu przez Roję do srebrnego medalu i zamianowany sierżantem. Skoro tylko Janicki złożył Roi meldunek o wyniku patroli, rzekł mu Roja: „Idź pan spać”, a gdy na uwagę Roli, że trzeba będzie jeszcze pójść na patrol, bo Moskale zasadzkę robią, powtórzył mu Roja: „Idź pan spać”. Poszedł spać, a z patrolą wybrał się sam Roja, ale o tym później.

Był jeszcze Brzozowski³⁰, inżynier z jakiegoś towarzystwa francuskiego, który budował kolej w Mezopotamii, a na wiadomość o wojnie przyszedł do Legionów. Ostrowski³¹, najpierwszy może patrolowiec,

²⁹ Optowo – wieś między Karasinem a Kostiuchnowką.

³⁰ Hubert Brzozowski, inż. por. oficer 4 pp, później oficer ordynansowy Kom. I Brygady.

³¹ Antoni Ostrowski, por., należał do oficerów, którzy w dowód uznania ich kwalifikacji otrzymali od Komendanta Piłsudskiego znak oficerski, tzw. „Parasol”.

przyjechał z Ameryki z partią Polaków. Oprócz Roli-Janickiego był tam cały szereg wybitniejszych oficerów. Młody Firlicz, blondyn o wariackim humorze, zginął w 1920 roku. Pieracki³², zwany „filozofem”, z kleryka oficer, bardzo poważnie dysputujący, zwany nudą. Prosołowicz, sportowiec zawodowy i pierwszy do futbolu, Rudek Korkosowicz, wiecznie milczący Litwin. Widzewicz, młody kapitan, a głośny jako właściciel ślicznego kozackiego karego konia Wańki, zdobytego w karpackiej kampanii (rok 1914-15) pod Hodorenką. Dwaj bracia Jędrychowscy Stefek i Feliks (Feliks zmarł na tyfus 1921 r.), gimnazjaliści z Bochni, czupurni chłopcy jak młode koguciki, i trzeci im wierny Majkuciński z Wadowic. Konderski, jak tyka wysoki, uczeń konserwatorium, zapalony futbolista, ale zawodowy żołnierz, organizator chóru pułkowego. Steich, zimnokrwisty i służbisty dowódca. „Dwaj Więcki”, Mietek, medyk z drugiego roku, zamiast trupki krajać wołał iść do linii, i Erwin, krzykliwy a dobry chłopiec, prawnik, zdaje się, dlatego że po maturze zapisał się na prawo czy też chciał się zapisać, ale wiekiem i gustami, a zwłaszcza wyglądem, zupełnie jak uczeń, który się chełpi, że już do „wyższego” gimnazjum chodzi. Takie to były oficerzyki, ot, taki Lizak Kazimierz od 1914 roku w polu, marzył tylko o tym, aby objąć kiedyś komendę nad kompanią. Gdy Tęcza-Kondycki³³ padł na Wołyniu pod Koszyszczami, Lizak widząc to, zrywa się, by raz wreszcie rzucić słowo komendy: „Kompania – woła zwrócony do żołnierzy – na moją ko...” i pada trafiony kulą. Józef Relidzyński, znany poeta legionowy i nielegionowy, należał do 2 batalionu, cichy, małowówny, poważny. Batalion ten wybijał się i dobozem oficerów, i dowódcą. Sikorski³⁴ Franek, technik ze Lwowa, swoje idee techniczne chciał

³² Bronisław Pieracki (1895-1934), gen. bryg. (pośmiertnie) WP, ofic. 4 pp II Brygady. W Polsce niepodl. polityk obozu sanacyjnego, w 1930 wicepremier, od 1931 minister spraw wewn. Zamordowany przez nacjonalistów ukraińskich.

³³ Władysław Tęcza-Kondycki, ppor., wstąpił do Legionów z drużyną Sokoła z Drohobycza jako uczeń 5 kl. gimn. w sierpniu 1914. Wielokrotnie odznaczony w walkach karpackich. Zginął pod Holewiczami na Wołyniu 13 IX 1915.

³⁴ Franciszek Józef Sikorski (1889-1940), gen. bryg. WP. Oficer II Bryg., kolejno dca batalionu, 3 i 4 pp, od 1918 do 1919 służył w 4 Dywizji Strzelców Polskich gen. Żeligowskiego na Wschodzie. W Polsce niepodl. dca 22 pp, 19 i 20 BP, 9 DP w Siedlcach. Od 1933 w st. spocz. W wojnie 1939 pełnił funkcję dcy obrony Lwowa. Po kapitulacji przebywał w niewoli w Starobielsku, tam został zamordowany.

tu przeprowadzić. Miał kuzyna, kapitana Zulaufa³⁵ i rodzonego brata sierżantem w swym batalionie. Wywierał więc za ich pomocą wielki wpływ na cały batalion. A że i sam był młodym, więc nie dziw, że czasem, ot tak, dla zrobienia ruchu, ogłaszał zupełnie ostro: „Wszyscy oficerowie 2 baonu mają być ogoleni!”. Niektórym trudno było rozkaz wykonać, bo nie mieli co golić, chyba czupryny. Ale nie tylko goleciem się odznaczał 2 baon. Zorganizowany był doskonale. Mieli swój chór w 8 kompanii, który pod batutą sierżanta Bugajskiego, prof. gimn. z Nowego Sącza, występował wesoło po ziemiankach, a poważnie przy każdym nabożeństwie.

³⁵ Juliusz Zulauf (1891-1943), gen. bryg. WP. W LP od 1914, kolejno dca kompanii w 2 i 4 pp, w wojnie bolszewickiej dca 4 pp L. Po wojnie dca 28 i 19 pp, 5 DPL we Lwowie, 2 DP w Kielcach, w wojnie 1939 dowodził 5 DP i GO swego imienia. Po kapitulacji w niewoli niem. w ofl. w Itzehoe i Murnau, gdzie zmarł 21 V 1943.